

Książki dla wszystkich.

Cena 10 kop.



Cena 10 kop.

O POEMATACH MARJI KONOPNICKIEJ

Prometeusz i Syzyf

i

Pan Balcer w Brazylii

skreślił

Henryk Galle

Wydawnictwo **M. ARCTA** w Warszawie

w Galicji 26 hal.

Z KSIĘGOZBIORU
BIBLIOTEKI GŁÓWNEJ
WOJEWÓDZKIEJ
BIBLIOTEKI PUBLICZNEJ
IM. ADAMA ASNYKA
W KALISZU

nr 148

KSIĄŻKI DLA WSZYSTKICH

O POEMATACH

MARYI KONOPNICKIEJ

Prometeusz i Syzyf

i

Pan Balcer w Brazylii

skreślił

Henryk Galle



WARSZAWA

NAKŁADEM I DRUKIEM M. ARCTA

—
1904

R(4)



1024549

884(091) A/2

Дозволено Цензурою.

Варшава, 29 Августа 1903 года.

10169184

Przeminął czas, przeminął czas
Rapsodów sławy i miecza;
Zmały pieśni pośród nas,
I pierś zmała człowieka.
Niezrozumiałym już się stał
Orężny szczęk epopei....

Temi słowy skarżył się przed trzydziestu laty Asnyk na upadek poezji epickiej. I nie było w tych wyrazach przesady, uniesienia poetyckiego. Zaprawdę! Od czasu, gdy «Pan Tadeusz» rozbrzmiał nutą pogody, szczęścia i wesela wśród «potępieńczych swarów», od czasu, gdy ostatnie tęczowe oktawy «Króla Ducha», niekształtne jeszcze, wyszły z pod stygnących palców konającego samotnie poety, «zmały pieśni pośród nas».

Wstąpiliśmy w epokę wszechwładz-

twoja liryki, nie tej, co w «Dziadach» lub w «Grobie Agamemnona» wylewa się szeroką falą, bucha płomieniem, zmusza serca do żywszego, potężnego bicia, lecz tej, co rzeźbi drobne, filigranowe czarki, jakby wyczyszczane dłotem Benvenuto Celliniego, wypełniając je rzadką lawą, częściej — naparem lubczyku, najczęściej — letnią wodą różaną.

A każdy sili się, aby być kunsztowniejszym, misterniejszym, bardziej sztukmistrzem, niż inni, aby wynaleźć takie rymy, taką budowę rytmiczną, takie zwrotki, jakich przed nim nikt jeszcze nie użył. A tłum, zrezygnowawszy z rapsodów i poematów, klaszcze w dłonie, patrząc na tę ekwilibrystykę poetycką, i woła w uniesieniu: «Ecce poeta!»

I długi czas na wyschłą glebę naszego piśmiennictwa padał drobny deszcz sonetów, tercyn, grazel, rond, sestyn, tryoletów, rondeli i madrygałów. I utwaliło się mniemanie, że okres rapsodów i eposów minął już bezpowrotnie. Upewniał o tem Asnyk — i sam stwierdzał czynem tę smutną prawdę, nie zdobywszy się przez 30-lecie swej czystej i wzniosłej w każ-

dej zwrotce twórczości ani na jeden większy pomysł poetycki; stwierdził i Gomulicki, patriarchy rodu cyzelatorów; stwierdziło i późniejsze pokolenie poetów. I kiedy przed kilku laty ukazały się pierwsze utwory Tetmajera, drobne, subtelne liryki nastrojowe, zdawało się, że to szczyt współczesnej naszej poezji.

Ale znalazła się poetka, która zadała kłam tym smutkom i obawom i pokazała, że umiemy się zdobyć nie tylko na lirykę wytworną, lecz i na wielką epopeę, że źródło natchnień potężnych nie wysycha, lecz zapadł tylko na czas jakiś pod ziemię, i wytryśnie, i potoczy się wartkim strumieniem, byleby wiedzieć, w którą skałę laską Mojżeszową uderzyć.

Tą pieśniarką natchnioną była Marya Konopnicka.

Znaliśmy ją nie od dziś, nie od wczoraj. Któż nie rozpląwał się duszą w jej kunsztownych, aż nazbyt kunsztownych pobudkach «Do kobiety», «Do młodej braci», «Credo», «Czuwaj strażnico!» Któż nie współczuł sercem smutnym bohaterom jej «Obrazków», temu «wolnemu najmicie», co «choćby garścią rwał

włosy na głowie, nikt się, co robi, jak żyje, nie spyta», i temu dziecku «przed sądem», «drobnemu, wychudłemu, z oczyma jasnymi», i temu drugiemu, co z zimna i głodu w noc, iskrzącą się brylantami szronów, skonalo «bez dachu», na kościelnym progu? Któż nie zagłębiał się w wielkie tajniki i wielkie prawdy filozoficzno-dziejowe «Fragmentów?» Komu nie krwawiło się serce, gdy przebiegał myślą losy siermiężnych bohaterów «Nowel», tych «dusz prostych i miernych», które nadewszysztoko umiłowala: Banasiowej, co do miasta «na śmierć ściaęła», a umierać nie mogła; tej staruszki z «Martwej natury», co synowi, posłańcowi miejskiemu, sprawiła pochów własny, nie szpitalny; i dumna była z tego, tak grobowo dumna; i tej pątniczki «U źródła», którą «jamioł» czytać uczył, i wielu, wielu innych postaci, w których kreśleniu wykazała poetka przedziwną znajomość serc chłopskich i rozumów chłopskich?

Ale nikt w autorce tych liryk rzewnych i głębokich, tych obrazków, tak wiernie odtwarzających rzeczywistość, a tak na-

siąkłych wielkiem umiłowaniem nizin, nie przeczuwał poetki epickiej. I jeszcze dwa lata temu, kiedy wyszedł z druku tomik precudnych liryk: *Italia*, kiedy zagrały na nich wszystkie barwy tęczy i otoczył nas tłum promiennych postaci mistrzów Odrodzenia, nie każdy wiedział, że talent Konopnickiej zdobył się już na wielkie dzieło epickie; a dziełu temu na imię «Pan Balcer w Brazylii». — To epepea bólu i tułaczki.

Tak, bólu! Bo od zarania twórczości Konopnickiej donośny dźwięk skargi i cierpienia brzmi rozgłośnie w jej pieśniach. Jej pieśń od pierwszych swych kroków po ziemi chodzi i łzy zbiera, nie odwraca się od żadnej rany nowoczesnego życia, zawsze gotowa tam lecieć «skrzydłami drżącemi»,

Gdzie duch omdlewa—i tęskni—i płacze,
Kędy niedola zasiada u proga.

Ona sama nad progiem czyśćca swej twórczości ognistemi głoskami nakreśliła sobie hasło, które za godło życia obrała:

Nie wam, słowiki, wtórzyć przychodzę,
Nie z tobą, różo, kwitnąć przy drodze,
Którą przemija smutnych tysiące,

Niesionych burzą od wieku...

Nie z tobą w blaskach budzić się, słońce,
Co świecisz równie cicho i jasno,

Czy duchy płoną, czy w walce gasną...

Lecz z tobą płakać, człowieku!

W tym bólu, który stał się treścią jej żywota, któremu zawdzięczamy najpiękniejsze perły jej natchnienia, nie masz nic osobistego, ni cienia skargi na niewdzięczność ludzką, na brak uznania i samotność duchową. Ten ból—to cierpienie nad niedolą ludzką i poniżeniem, nad roztrwonionymi skarbami, nad niewydo-
bytem jeszcze z piersi ziemi bogactwem...

Idzie więc poetka po smutnych polach, przysłuchuje się echem żalostnej ligawki chłopskiej, łzy zbiera i krople krwi liczy. A duch jej, wchłaniając w siebie te «słodkie trucizny», wyolbrzymia się, potężnieje. Nie ominie żadnej rany, wszystkim klęskom tej ziemi się przyjrzy, do cel więziennych przeniknie, z sercem płomiennem i czułem, zejdzie na samo dno przepaści hańby i poniżenia. I serce jej krwawi się coraz bardziej, coraz bole-

śniej, a ciernie coraz głębiej wpijają się w czoło i stopę...

I wszystko zmierza ku jednemu celowi: najdźwięczniejsze tony, na jej fujarce pastuszej wygrane, najwspanialsze barwy, wydobyte z nieprzebranej palety *Italii*, wszystko to nie dla igraszki pustej stworzone, nie dla popisania się przed tłumem, żadnym uciech i wrażeń niezwykłych, zręcznością kuglarza, co dziesiątki kół błyszczących przed olśnionymi oczyma widzów podrzuca: ona nie da się złudzić wirowi obrazów, którym brak treści. Ona całe bogactwo środków artystycznych, prawdziwą Golkondę środków, składa na ołtarzu dobra publicznego, hojną ręką rzuca w ofierze duszom «prostym i miernym».

Wielka symfonia pełni rozwoju duchowego autorki *Obrazków* zaczyna się od przepotężnego akordu, w którym czułe ucho wyśledzi i grzmot odwiecznej burzy dziejów, i seraficzne dźwięki najwyższych uniesień ducha.

Mówimy tu o *Prometeuszu i Syzyfie*, wielkim poemacie dramatycznym, dru-

kowanym w r. 1892 w tomie III *Biblioteki Warszawskiej*.

Przedmiotem poematu jest «wieczne przekleństwo rozbratu między przepaścią a szczytem»: przepaścią krwawej pracy ciała a szczytem słonecznych wzlotów ducha.

Bezdenne głębie zagadek społeczno-dziejowych, wcielonych w wielkie postacie hrabiego Henryka i Pankracego, wyolbrzymiały jeszcze, przeszły wszelką miarę ludzką: widzimy przed sobą już nie dwu ludzi, którzy piorunami miotają na siebie, a w ich słowach huczą głuche pomruki dalekiej nawałnicy; tu majaczeją groźnie dwa, nieobjęte okiem śmiertelnika, widma półbogów, symbolów ogromnych, w których mieści się wszystko, co jest najszlachetniejszego, i wszystko, co jest najboleśniejszego w dziejach człowieczeństwa.

«Dwa orły z nas»—woła Pankracy do Henryka, odchodząc. «Abyssus abyssum vocat» (otchłań woła do otchłani), pisze Konopnicka pod nagłówkiem *Prometeusza i Syzyfa*. Dwa orły, które od wieków po różnych niebach szybuja, nie spotykalając się nigdy; dwie otchłanie,

które we wspólnem działaniu połączyć się nie mogą, bo — nie rozumieją się nawzajem...

Prometeusz na szczycie niebotycznej skały marzy o wydarciu ognia boskiego Zeusowi. Ten ogień—to cel jego życia, ten ogień—to potęga, ten ogień—to bólu syte poszukiwanie prawdy, okrytej przed okiem ludzkim przez zazdrosne bóstwo nieprzeniknioną zasłoną.

Szyf w głębi przepaści toczy skały ku szczytom i chyli się pod ciężarem tej pracy odwiecznej, nieskończonej, której przyczyny nie zna i celu, do której przywykł, jak pies do obroży.

W pierwszej scenie, zatytułowanej *Przed wiekami*, duchy te nie widzą się nawzajem i widzieć nie mogą; to, co jeden z nich mówi, wydaje się drugiemu śmiesznem, dziwnem, niezrozumiałem. Szyf ma Prometeusza za orła, Prometeusz woła na Szyfa: człowieku! w olbrzymiem oddaleniu, jakie ich dzieli, tytaniczne kontury obu półbogów maleją do rozmiarów powszedniości.

A kiedy Prometeusz bratem nazywa «kamieniarza», w Szyfie nieufność się

budzi i zgrzyta szyderstwem: «Piękna to rzecz, ale nie prawdziwa... Żebyś ty bratem, bratku, był, tobyś ty ze mną u roboty stanął i tak samo bary pod głazy podkładał, a nie bujał gdzieś po szczytach... Ile razy ci tam w górze pomocy naszej potrzebują, to nam mówią: bracie».

Głazy, które Syzyf pod górę toczy, osypują się, okruchy w dół lecą, a łomot ich zasnąć nie daje Zeusowi; Prometeusz zaś z taką niecierpliwością czeka tej chwili boskiego spoczynku, by ogień wykraść i ludzi nim uszczęśliwić. Więc zżyma się na «prostaczynę» i dziwi się pracy Syzyfa znojnnej a bezcelowej. Czyżby mu ją za pokutę nadano?

Ale Syzyf nie wie nic o pokucie. Toczy głazy, to cięższe, to lżejsze, a one wszystkie staczają się na dno. I zawsze czoło ma w pocie, a grzbiet ma także w pocie. I to nie jest pokuta. To jest życie. Nikt go nie pilnuje, bo czyż żyjącego trzeba pilnować, aby żył? a kiedy Prometeusz pyta, dlaczego tak się trzodzi, odpowiada: «Jakto, dlaczego? Ponieważ spadają, więc je toczę. To jest

bardzo proste... Ponieważ je toczę...
więc... je toczę...»

I nie rozumie Syzyf, co można robić w górze; tu w dole — ręce pełne roboty, ale tam?

A kiedy Prometeusz uskarża się, że prawdy nie znalazł, nie zna jej, i to go boli, Syzyf pojąć tego nie może: «jakim sposobem może boleć coś, czego nie znam. Kiedy mam grzbiet zraniony i zszarpaną skórę, boli mnie, ale wiem dobrze, co mnie boli, ból mój znam, po imieniu ci go nazwać mogę».

Nie zna «kamieniarz» górnych lotów i dążeń ku światłu. Obrócić czoło ku niebu i spojrzeć w słońce? on tego nie umie, nawet nie może: oczy zamykać musi, gdy głowę uniesie, bo żwiry nań sypią... A zresztą i po co? może, gdyby wyżej dojrzał, musiałby wyżej głazy toczyć.

Ale on inne światła zna: kiedy tu w otchłani skała o skałę, głaz o głaz uderzy, wybiega iskra i robi się widno.

I nic to, że się coś rozbije, roztrzaska: «uderz... człowieka o Zeusa, na przykład.

Jeśli człowiek wytrzyma, to będziesz miał z niego taką jasność, że to ha!»

Inaczej Prometeusz. Jego życie to nieśmiertelny pęd i ruch myśli. On prawdy szuka i tęskni do niej, chociaż jej nie zna; nie wątpi wszakże, że ją wydrze bóstwu wraz z dobroczynnym ogniem, choć dotychczas ta prawda nie była odnaleziona nigdy...

A echa skalne powtarzają ponuro: nigdy... nigdy...

On po światło idzie, po światło dla ludzi i rzeczy—do początku ludzi i rzeczy; on «jak urzeczony, oczarowany», musi po ogień ten iść, iść, iść...

I cierpi, iż światła nie zna, tęskni doń, a ród jego jest nędzny i upośledzony...

Oto, jak kreślą się w naszej wyobraźni dwa tytany. I poznajemy ich, zgadujemy pod maskami eschyłowej tragedyi. Prometeusz—to więcej, niż hrabia Henryk: to nie tylko arystokracja ducha czy rodu, sybarytyzm umysłowy jedynie. Prometeusz to wcielenie odwiecznych dążeń ducha ludzkiego ku tej najwyższej rozkoszy umysłu, jaką daćby mogła zupełna świadomość, przed którą rozwie-

rają się na oścież podwoje wszystkich zagadek bytu; to niebiańskie tęsknoty ku uświadomieniu; to niejasne przeczucia tej męki, jaką przechodzi duch na ciernistej drodze poznania.

Syzyf to nie tylko Pankracy, uosobienie przepaści społecznych. To zarazem obraz tego stanu ciemnoty i niewolnictwa ducha, które nie tylko nie dają oczom wznosić się ku słońcu, ale nawet nie dopuszczają myśli, że można podnieść czoło ku wyżynom. Jak Prometeusz jest nieszczęśliwy nieuświadomionem jeszcze przeczuciem cierpienia świadomości, tak Syzyf—nieuświadomioną również świadomością wesoty. Budzi się coś w Prometeuszu, kiedy woła na kamieniarza «bracie!», budzi się i w Syzyfie, bo biednym nazywa przyszłego porywcę ognia i lituje się nad jego niedolą. Ale to jeszcze nie wszystko...

Minęły wieki.

I znowu widzimy Prometeusza, który, wykradłszy ogień Zeusowi, ukazuje się przed nami już nie jako podróżny w czapce frygijskiej i w krótkiej chlamydzie, lecz w wyszlachetnionej postaci

uskrzydłonego, światłem objętego geniusza. Ogień porwany na piersi nagiej niesie i nie czuje bólu. Ale wie już, że ból jego to życie milionów, że ból jego to wyzwolenie milionów, że tryumf rodu ludzkiego jest w jego męce. I marzy rozkosznie o promiennej świata przyszłości. «Ogień niosę! W cień i zimno, i skrzepłość śmierci — ogień niosę. Do grodów, do siedlisk ludzkich wejdę, na cztery strony świata go rozdzielę, na cztery wichry rozdmucham, na cztery słońca rozpale. I będą ludy szły, i uczynią ogniska wielkie i mnogie; a nędzarczatli u nich zagiew swą i pójdzie, niosąc przed sobą boskość swoją, równy twojej boskości, Zeusie, nieśmiertelny, wieczny! Ludy i wieki widzę... Ludy i wieki, ogniem znaczone, idą... Harfa światła brzmi okręgiem globu, od nocy do brzasku, od jutrzeńki do zorzy, od świtu do zachodu słońca! Jaśniej... Coraz jaśniej... Ustępują mgły nocy i błędne tumany. Jak zasłona oblubienicy, spada opar siny z łona ziemi. Coraz, coraz jaśniej...»

Wtem ukazuje mu się wdali widziało Kaukazu z ciemną postacią, przy-

gwoźdżoną do jednej ze skał, i sęp, pierś szarpiący dziobem krwawym.

To widmo przyszłości, której nie udało się uniknąć promiennemu dawcy światła. Ale mężnie przetrwał mękę i nie dał sępowi wydrzeć sobie isierki ognia boskiego, którą ukrył w sercu. I wznosił się Prometeusz na najszczytniejsze wyżyny ducha: skrzydlaty geniusz wypromienił się w «postać anheliczną». To ból świadomości połowicznej, niezaspokojona żądza wiedzy, wywarła na niego ten wpływ cudowny. Tak duchy wybrane za ludzkość całą cierpią katusze, świecąc przykładem i świetliste drogi wskazując wędrownej ludzkości. «I budzili się ludzie — mówił Prometeusz — i podnosili głowy i, patrząc na Kaukazu szczyty, mówili: Prometej tam żyw jest! Prometej tam każń cierpi! Prometej świeci w męce!» I oto do czterech żywiołów przybył nowy, najpotężniejszy: ból, najcenniejszy dar bóstwa, najpotężniejsza dźwignia wszelkiego postępu: bo bez bólu niemasz rodzenia, bo bez bólu niemasz ni hartu, ni wielkości, ni bohaterstwa, bo «co łyzy napoją, żywe jest; co



ogień męki wypali, mocne jest; co jęk wyśpiewa na czarnej harfie swojej, tego słuchając, miliony zmocnione będą».

I Syzyf doświadczył na sobie oddziaływania tej wody z żywego źródła, co zwie się męką. I po raz pierwszy przeklinać zaczął; rzucił się na same dno przepaści i głowę ukrył w prochu. Od czasu, gdy Prometeusz mówił mu przed wiekami o owem świetle, o milionach światła, nie ma spokoju: wciąż patrzy w niebo, szuka, pożąda—daremno! I teraz dopiero zdał sobie sprawę z niedoli swojej, z ciemności, która go otacza, i po raz pierwszy — zabołał. Dawniej, póki nie wiedział o światłach, toczył głaz po głazie i nie przykrzył sobie tej roboty, a teraz...

Więc złorzeczy duchowi światłości i szczytów. «Bogdaj-bym cię nie znał! Między te ciche skały puściłeś głos, głos, który je zamieszkał i wielomównymi uczynił. Dawniej powtarzał tylko huk głazów, albo krzyk mój, albo milczenie. Moc w tem była. Moc, powiadam ci, była i życie. Teraz szepczą. Nauczyły się szepców dziwnych, drażniących,

szeptów, które mają twarze. Czasem twarze te są groźne, czasem szydercze, czasem zalane łzami. Ich niepokój rozdziera mi duszę. Żadna z nich nie jest spokojną. Czasem bije się to w ciemności lotem nietoperzowym, czasem wysuwa się z kąta, jak długie, długie żądło, i syczy: dlaczego?...»

A echa, po stokach przepaści drzeмиące, przywtarzają bolesnej skardze: Dlaczego... Dlaczego...

Ale tu nie kres męce Syzyfowej. «Zdawało mi się dawniej—wola do Prometeusza—że toczę głazy z własnej mojej woli; toczę, bo toczę. Teraz wiem, że w pracy mojej jest przymus i rozkaz. Jest konieczność jakaś. Nad moją wolą jest druga, potężniejsza wola. Powiedz sam! Czuć, jak ci ręka jakaś pierś uciska i do oddechu zmusza.»

Lituje się Prometeusz nad nieszczęśliwym i rzuca mu iskrę ostatnią, która mu z boskiego ognia na dnie serca została, rzuca ją «w przepaść męki i ciemności, i siedmiorga głodów, i siedmiorga potów, i nędzy, nad którą nie masz jakąby stawić można»; i rzuca ją, «gdzie

jest skrzywdzony a cichy, iżby ku żywotowi dojrzewał, jako źdźbło rodzajne»; i rzuca ją na twardą pierś i na ramiona żylaste, by rozświecić nią «mózg krzepki, jak ugór, co nie rodził jeszcze». I spodziewa się obfitego plonu.

To też w ostatniej scenie: *Po wiekach*, z dumą i radością patrzy na «kamieniarza», na tę «wyzwoloną siłę przepaści», «budownika jutra», wielkiego, potężnego, siłę swą czującego, «rodziciela plemion i wieków». Lecz jakże gorzko się zawodzi! Syzyf drwiąco odpowiada na jego wezwania natchnione i szydzi, szydzi, szydzi...

Nie takim był wprawdzie zrazu, gdy do jaskini wpadła iskra Prometeuszowa: przy jej blasku zobaczył, że to, co miał za głązy, było nędzą jego, i co zdawało mu się szczytem, było głupotą jego, a to, co zdawało mu się przepaścią, było krzywdą jego. Padł tedy i gorzko płakać począł.

Ale cierpienie nie wyszlachetniło go, jak Prometeusza. Przeciwnie. Obudziło w nim drzemiącą dotychczas, żywiło-

wą siłę niszczycielską, mściwą, straszną okrutną.

Łzy mu oschły i podniósł się. I wtem ujrzał, że ta jaskinia, którą w ciemności miał za świat cały, jest sobie «lichą budą, i że, dobrze kopnąwszy, rozwalić ją można», zburzył więc ją jednym uderzeniem i wytknął głowę. Długo patrzył na słońce, nie, iżby promienie jego wziąć w duszę swoją, lecz aby zohydzić je we własnem sercu. Bo i cóż? wszak «niebo, Olimp to taka sama, jak jego, tylko szczytem na dół odwrócona przepaść, a Zeus jest w niej takim samym pacholkiem, jak on w swojej dziurze był, i te wszystkie światła, to poprostu większe i mniejsze głązy, które on w górę toczy, i które ciągle spadają».

I śmiech, szalony śmiech porwał Syzyfa, a potem płacz, taki okrutny płacz, że z tych łez dwa morza ulaćby można, «gorzkie, słone tak, żeby w nich wszystkie bestye pozdychały». I zadziwił się wielkiej nędzy świata. Ale i wiele rzeczy zrozumiał; pojął, że «i czas jest głazem, a proch, który z niego leci,

nazywa się życiem. Szary, gryzący proch...» Dmuchać — i po nim. Nie nędza-ż to?

I nie tylko życie ludzkie, ale i świat cały jest sobie marną budą, która, byle ją dobrze kopnąć, rozleci się.

Oto rozwiązanie zagadki życia i świata!...

Zatrwożył się i zasmucił Prometeusz. Takież-to iskra jego rozetliła dobroczynne ognie? z takiego-ż błota chciał on nowe światy budować? Iskra?... gdzie iskra?...

A w tejże chwili rozpala się w dali krwawa łuna nad płonącym miastem, i dolatują głuche okrzyki wściekłości: «Śmierć! Śmierć podpalaczowi! Sto uncyi złota za głowę! Sto uncyi! Chwytaj! Trzymaj!».

Prometeusz, miotany trwogą bolesną, z każdą chwilą rosnącą, powtarza rozpaczliwe pytanie: «Gdzie iskra moja, szaleńcze?»

A Syzyf kurczy się, wyciąga palec ku purpurowym odblaskom pożaru na szafrowem niebie południa i mówi szep-tem: «Tam... tam iskra twoja...»

I oto boski dawca światła podnosi la-
ską runiczną i wyrzeka straszne zaklę-
cie: «Iżeś boskiego ognia w piersi nie
wziął, aleś zeń ziemi pożogę uczynił...
Iżeś za światłem w górę nie rósł, aleś
rzeczy górne do własnej ściągnął nico-
ści... Na wiek... na dwa... na dwakroć
po lat tysiąc oddaję cię bezruchowi i sen-
ności głazów!»

A Syzyf kamienieje w bezkształtny
posąg, Prometeusz zaś, zachodząc zmierz-
chem, woła ku niebu: «Pomszczony je-
steś, Zeusie, gromów Boże!»

.

Nad zgliszczami starego świata wzno-
si się ten pomnik gniewu Zeusowego,
kamienne zwłoki wielkiego «budownika
jutra», w oczekiwaniu przebudzeń godzi-
ny. Prometejańska potęga ducha i Syzy-
fowa siła ciała nie dopełniły się, nie
wzniosły wspaniałego gmachu świata
przyszłości, lecz ziemię okryły gruzami
i popieliskiem, nie postawiwszy nic wza-
mian. Tak dumął Pankracy, patrząc na
obszerne niziny, które w perzynę obró-
cił potężną prawicą: kiedy zaludni się ta

pustka i życiem zaroi się nowem? i padł martwy pod brzemieniem tych ciężkich myśli, nie rozwiązawszy zagadki jutra.

Ale symbol Syzyfa nie jest równoznaczny z tą treścią filozoficzno-społeczną, która zawiera się w postaci Pankracego.

Czemże więc jest Syzyf? co znaczy ów straszliwy użytek, jaki uczynił on z ognia świętego, i owo tajemnicze zaklęcie, które pogrąża go w sen Irydyonowy na długie wieki?... Po klucz do tej symbolistyki bezdennej musimy udać się—znów do Krasieńskiego. Przypomnijmy sobie Masinissę, owego ducha zła i zagłady, który jadem swoim kazi najszlachetniejsze popędy Irydyona, który uczucia najwznioślejsze w zarodku wykrzywia i paczy i w hańbę je obraca, i w grzech, i w pośmiewisko, owego szatana historyi ludzkości, szatana ironii dziejowej, odwiecznej, piekielnej.

On-to posoki swojej podlał pod młodziuchną płonkę, która z iskry Promejowej wystrzeliła w czarnej piersi Syzyfa. Jego wiekowa niewola ducha znieprawiała, jego oczy zbyt długo zasypy-

wał pył gładów toczonych, i boskiem pożądanem światła rozpalić się nie umieją; jego siła mięśni tyle wieków wyteżała się do skał dźwigania, iż ku wyżynom nie wzniesie już ducha.

I pierwszym uczuciem, jakie ozwało się w sercu Syzyfa, gdy rajski ogień zaświecił w jego jaskini, był bunt. Bunt nie tylko przeciw jaskini, która była więzieniem tytana, nie tylko przeciw gładom, które toczył, lecz przeciw wszystkiemu, co żyje na ziemi i na niebie, bunt przeciw człowiekowi, przeciw światu, przeciw słońcu....

A Masinissa śmieje się śmiechem szatańskim...

Syzyf — to postęp ludzkości, który anielskie swe skrzydła kala w potokach krwi rewolucyi i terroru i morduje tysiące ofiar w imię miłości bliźniego, aż staje się zaprzeczeniem tej miłości najjaskrawszem i najohydniejszem. Syzyf — to światłe dążenie do wiedzy, które w bagnie zwątpień zgubiło wszystkie swoje promienie i przerodziło się w lichy sceptycyzm, co jest wszelkiej wiedzy zaprzeczeniem najoczywistszem i dobro-

wolnem zrzczeniem się prawdy. Syzyf — to sztuka, promienna dawczyni wzruszeń szlachetnych, co, znurzawszy się w brudnym naturalizmie, staje się przedrwiwaniem piękna. Syzyf—to cywilizacya, co do ludów dzikich niesie zdobycze wiedzy nowożytnej—broń palną, «wodę ognistą» i choroby zakaźne. Syzyf — to wolność, przeradzająca się w anarchię, która—według starych naszych, a mądrych niezmiernie polityków w. XVI z Modrzewskim i Górnickim na czele—jest tylko swobodą czynienia źle dla nikczemników. Syzyf wreszcie — to miłość Anglików do Albionu, który każe im nienawidzić Francuzów, to współczucie dla ludu, co «hajdamackie noże» ostrzy na szlachtę. Syzyf — to wszelkie zwyrodnienie myśli wielkiej i wzniosłej, wypaczenie jej w nikczemność i ohydę.

Á wykrzywiona larwa Masinissy śmieje się szyderczo...

Ale Prometeusz nie rzuca na Syzyfa potępieniem wiecznem: on rozumie te konieczności, które sprowadzity tytanicznego «kamieniarza» na drogę nienawi-

ści i wzgardy. I nie nazywa go nikczemnikiem, lecz nazywago — szaleńcem. I rzeczby można — lituje się nad nim; zbłądził on wprawdzie, na wieki całe, na cały czas snu kamiennego, w który zaklina go Prometeusz, cofnął urzeczywistnienie jego promiennych ideałów na ziemi, ale błąd da się naprawić pokutą i długą cierpliwością — i kamienie ożyją.

Krasiński każe Pankracemu kruszyć się w proch pod błyskawicznym wzrokiem Galilejczyka; Konopnicka nie skazuje na zagładę Syzyfa, lecz pokrzepia nadzieją, że iskra Prometeusza nie poszła jednak na marne, bo ten sam, co rozniecał pożary po ziemi, stanie się kiedyś «budownikiem jutra» i tyle ognisk dobroczynnych rozżarzy, ile było serc cierpiących na ziemi...

I wyszło na jaw, że talent Konopnickiej może zdobyć się nietylko na perełki i brylanciki pieśni, obrazków i sonetów, przepojonych światłością, błękitem i wonią, ale i na wielkie kreacye o epickim rozmachu pióra.

I oto jednocześnie prawie z «Prome-

teuszem i Syzyfem» uderza Konopnicka w ton dziwnie potężny i dźwięczny, ni-
by echo dawnych mistrzów, a jednak
nowy w swej treści i wewnętrznej istocie,
rozlegają się srebrne i szpizowe zarazem
stancje «Pana Balcera»... A wraz z nim
wstępujemy na zawrotne turnie ducha
twórczego, na jakich żaden z twórców
naszych po-romantycznych nie stanął.

Od czasu owego upłynęło już lat dzie-
sięć, a poetka nie ustaje w pracy nad
swojem arcydziełem, dorzucając jeden
fragment za drugim, olśniewając nas bo-
gactwem i siłą żywiołową coraz to no-
wych obrazów, a w nich zestrzeliło się
wszystko, co było najwznioślejsze, naj-
doskonalsze w dotychczasowej twórczo-
ści poetki, zespoliło się, stopiło w dźwięcz-
ny szpiz wielkiego dzwonu, w którym
bije serce skrwawione, dzwoniąc wielką
pieśń niedoli i skargi. I oto stoimy przed
wielkiem, niedokończonem jeszcze, nie-
stety! dziełem, które, gdy od niego po
raz ostatni poetka twórcze palce odej-
mie, stanie się najwyższą chlubą pieśni
naszej ostatniego półwiecza...

Rozproszyliśmy się po świecie, jako

liście, odarte z drzewa, a wiatr nas, gdzie chce, unosi, za lądy, za morza, a krok w krok za nami idzie tęsknota. I z tą tęsknotą walczyć przyjdzie, a walka to sroższa niż z dziewiczą przyrodą nowych lądów, pełnych dziwu, i lęku, i śmierci. Walka nad siły ludzkie! Aż wreszcie rzucisz wszystko, a dążyć poczujesz przez piaski gorące, przez puszcze nieprzebyte, przez skalne bezdroża, w stronę tak niebacznie opuszczonej chaty.

Oto rusztowanie ostatniego dzieła Kopnickiej, tej epopei nędzy i tułaczki.

Epopei? czy to nie za wiele? nie zwykło się być hojnym w takich wyrazach; wszak znaleźli się tacy, co odwócili tego miana «Panu Tadeuszowi».

Ale jeśliśmy arcydziełu Mickiewicza nie poskapili tego szczytnego tytułu, nie powinno się go odmówić i «Panu Balcerowi». Bo to, co uczyniło «Pana Tadeusza» epopeją, znajdziemy i tutaj: nie Tadeusz i nie Telimena, nie Sędzia i nie Hrabia, nie Gerwazy i nie Protazy, nie Jacek Soplica nawet, ale oni wszyscy razem, a nadewszystko rojni, gwarny,

burzliwy tłum szlachty dobrzyńskiej, gdzie każdy jest sobą samym i zarazem wcieleniem, jednym atomem w wirze życia szlacheckiego, ale zarazem nieśmiertelnością.

Nazywamy wreszcie «Tadeusza» epopeą dla jego przedmiotu, który w coraz wyższe i szersze wzbija się kręgi, w którym ani jedna nie brzmi nuta fałszywa ni banalna, lecz wszystko, co najwznioślejsze i najszlachetniejsze, wszystko, co łagodzi spory i nienawiści najbłahsze i najpoważniejsze: o charty i o dobre imię księdza Robaka...

A «Balcer» czyż również szerokie otwiera horyzonty? czy uczuciowa głębia i równowaga epicka złożyły się w nim na równie harmonijny i doskonały zestrój? czy trafny wybór bohatera pozwolił poetce osiągnąć w obrazie wrażenie perspektywicznej dali?

Przedewszystkiem wyrzucmy za nawias te jałowe a nieskończone spory o «bohatera». W epopei niema i nie może być bohatera w zwykłym znaczeniu tego wyrazu. Kto jest bohaterem «Iliady»? porywczy Achilles? dumny Aga-

memnon? zuchwały Parys? czy szlachetny a nieszczęśliwy Hektor? Bohaterem «Iliady» jest nie jeden jakiś wódz grecki czy trojański, bohaterem «Iliady» jest naród grecki; a choć przemyślny Ulises wypełnia swoją opowieścią i przygodami całą niemal «Odysseę», nie w nim spoczywa oś i jądro epopei, lecz — w Grecyi, którą wraz z herosami zwiedzamy, do której tyle lat tęsknił syn Laertes, nawet na łonie uroczej nimfy Kalipso. Bohaterem «Iliady» i «Odyssei» jest naród grecki, najistotniejsze i najpotężniejsze prądy jego życia, jego zwycięstwa i klęski.

I w «Panu Tadeuszu» trudno doszukać się jednostkowego bohatera; bo nie jest nim, oczywiście, Tadeusz, ani nawet Jacek Soplica; bohaterem epopei Mickiewicza jest szlachta polska ze swojemi cnotami i przywarami, ze swoim żywym gestem i tajnem biciem serca, ze swoją zawziętością w sprawach osobistych i ofiarnością w publicznych.

«Pan Balcer» pod tym względem dostrzymuje kroku swoim poprzednikom. I tu również wielogłowym bohaterem

utworu są te rzesze ludu zbłąkanego,
odbitego od gniazd. A na owym okrę-
cie emigranckim «Krejcu» zebrało się
ludu sporo z różnych okolic, różnego
wyglądu, postawy i charakteru:

Bo się tu zeszedli precz z kraju całego:
Mazury, Kurpie, Łomżaki, Płocczany,
Ci gdzieś od Warty, od Bugu samego,
Tamte od Narwi brunatne sukmany,
A w każdym inszy ruch, insza postawa;
Tak się to ziemia w narodzie wydawa.

Dopieroż to się zapala te oczy,
Dopieroż staną te lica w kolorze.
Ten, jak lny, biały, tamten, jak dąb w korze;
Lud związły w sobie, żyłasty, roboczy,
Łeb prosto nosi, jest twardy w honorze,
A choć po równiach polistych rad siedzi,
Górny jest, jakby dziś był u spowiedzi.

Oto rzeczywisty bohater arcydzieła
Konopnickiej. «Pan Balcer» jest epo-
peą ludu naszego, pierwszą i jedy-
ną u nas, a może i nietylko u nas epopeą
ludu. W ten sposób «Pan Tadeusz»
i «Pan Balcer» dopełniają się nawzajem;
a są, jak dwa bracia, do siebie podobni.
Tak! bo obaj wyszli z jednego łona
matki-tęsknicy. Lecz nierówno obdzie-

liła ich darami swymi rodzicielka: starszemu dostało się wszystko, co jasne, co pogodne, co kojące, jedyne źródło pociechy i osłody wśród «potępieńczych swarów»; drugiemu, wydziedziczonemu pasierbowi, dano wszystko, co bolące, szarpiące serce, piołunowe. I dlatego nawskroś «Pana Tadeusza» rozbrzmiewa złoty pobrzęk radosnego śmiechu; po ciemnych ostępach «Pana Balcera» ponurem echem coś jęczy i zawodzi bez ustanku. Przy każdej postaci dziejów ostatniego zjazdu na Litwie widzimy poetę z sercem wezbranem weselem, z łagodnym uśmiechem wyrozumiałości ojcowskiej na twarzy, z miłością, która szczęście daje. Konopnicka nie opuszcza ani na chwilę ostatniego z uczestników nieszczęsnej wyprawy do Brazylii, szaleje jego bólem, skarży się jego modlitwą, żyje z nim i umiera, miłością nieszczęśliwa. Mickiewicz wspomnieniami duszy utęsknionej trącił o «kraj lat dziecinnych», a kraj ten stanął cały w blaskach, dźwiękach i woniach, jak wniebowzięty; Konopnicka, ile razy oczy

swych bohaterów na wschód obróci,
uderza w struny śpizowe:

Hej, ziemio, ziemio! Że my się też ciebie
Puścili!... Miedz twych i twojego płota...
A toż po wodzie my tam i po chlebie
Moc większą czuli i więcej żywota,
Niż tu, gdzie wszystko naokół i w niebie
Cudze, i gdzie jest dusza, jak sierota,
Obzierająca się w dalekość siną
Za progiem chaty swej i za rodziną.

Hej, ziemio, ziemio, ty matko rodzona,
Łanie ty wdzięczny i rolo życzliwa!
Toć ty tam sama podajesz zagona
I skibę ziarnu otwierasz, jak żywa!
Lecz ta—macocha jest. A czy kto kona,
Czy padnie, nie dba, ani się zadziwa...
Nad trupem twoim wszystko w tych tu borach
Będzie rość, szumieć i błyskać w kolorach.

Mickiewicz jest, jak ojciec, który wszy-
stkich Bartków i Maćków tuli do łona,
lży szczęścia lejąc; Konopnicka podo-
bna jest do matki, co widzi, jak jej pi-
skłeta odlatują precz od macierzystego
gniazda na męki i zgubę, a zawrócić ich
ani zbawić od tego kielicha goryczy nie
zdoła...

I taką jest geneza Pana Balcera, jak
i geneza Pana Tadeusza wedle słów

samej poetki w jednym ze studyów literackich: żaden z narodów nowożytnych nie ma takiej epopei, gdyż «żaden nie mógł, nie miał potrzeby uczuć tak silnej tęsknoty... bo żadnemu nie mogła tęsknota tak wielka wyczarować z duszy tak potężnych i słodkich obrazów... bo żaden nie potrzebował z dumań tych i marzeń tworzyć sobie powietrza, któremby dyszeć mógł, aby żył.»

Przyjrzyjmy się choć przez chwilę tej złotej nici tęsknicy, co przewija się przez wszystkie dźwięczne i potężne oktawy «Pana Balcera», od tej pierwszej, w której Balcer, znalazłszy się na okręcie, naprzekór własnemu sercu wykrzykuje niemal z radością, że teraz nic mu już nie stanie na przeszkodzie... «nawet łąza w oku.» Ale kiedy sygnał zaświstał, a okręt podniósł kotwicę, przekonał się nasz bohater, że próżno krzepił się i siłił zapomnieć o opuszczonym kraju rodzinnym:

Jest przerażliwość jakaś niespodziana
W takowym świeście, co jeży ci włosy;
To już waleta, przez ziemię ci dana,
A ty się zbieraj i w garści dźierz losy.

Więc się pode mną ugięły kolana
I w oczach nieco zaczulem tej rosy.

A kiedy przyjrzał się owemu tysiącowi braci-tułaczy, co dążyli w obce kraje nowe budować życie, jak te «bociany, gdy loty rozwiną od gniazd, gdzie miały bezpieczne uchrony, a nie wiedzące są, czyli nie zginą, czyli na strzechy wrócą i na brony», serce zaczęło mu się ścisnąć coraz boleśniej...

Ale nie tracił jeszcze nadziei i otuchy. Ha! przecież nie zginie! «hej, pójdzie jakoś, hej, jakoś to będzie!». Ale zaraz już pierwszej nocy, przepędzonej na okręcie, stanęły przed nim, jak żywe, «kuźnia, kowadło, ognisko, obcęgi», i słyszał, jak na jawie, gęganie gąsiora na łące, i widział chłopą, co szkapie przyciągał popręgi, i Jaśka, dymającego w miech, i lśniące w słońcu ufnale...

I w duszy tej garstki wychodźców chłopskich w pierwszej pieśni: «Na morzu», było jeszcze pewne wahanie, a tłum tułaczy był, jako «łan żytni, gdy wiatry nim chwieją, między żalością i między nadzieją». Z początkiem utworu tłum ten przedstawia się humorystycz-

nie napoły, choć z głębokim a rzewnym liryzmem; humor to, jak u Mickiewicza w «Panu Tadeuszu». Oto widzimy, jak ten lud dodaje sobie nawzajem serca i odwagi, jak roi plany na przyszłość, jak tworzy sobie piękną legendę o kardynale, co ma ich czekać na brzegu z krzyżem i błogosławieństwem i poprowadzić na żyzne zagony; widzimy też, jak ten lud — na wzór braci-szlachty z zaścianka dobrzyńskiego — wzniesła gwarne spory to o szlachectwo i herby, to o przewagę różnego rodzaju broń lub wyższości łowu «wodnego» nad «borowym»; i widzimy ów lud, jak podczas chrzcin na okręcie przystraja się w byle pawie piórko, w byle wstążczykę, aby tylko obce oko nie przetrząsało jego biedy.

I chociaż pod złowróżbnym znakiem zaczęła się podróż, chociaż napotkany na drodze płonący okręt i huragan, co rozszalał na oceanie, smutną przyszłość wróżyły wychodźcom, duch w nich jeszcze nie upadł.

Ale zaledwie stanęli na lądzie, spotyka ich pierwszy zawód. Kardynał? nie!

konwój żołnierzy otoczył ich, jak więźniów.

I odtąd zaczyna się męka. Zamkniętych w przytułku wygnańczym tułaczy dosięga straszna klęska nowych lądów, żółta febra. I tu dopiero otwierają się im oczy, a żalność wzbierać zaczyna w ich duszy, wzdyma się fala, podnosi, aż wydrze się z gardła «krzykiem przeciw naturze», skargą iście konradową:

Wiejcie więc teraz, wy, wichry pustyni!
Krzyczcie więc w niebo, jęczące wy głosy!
Niech się tu koniec wszystkiemu uczyni,
Niech—jako psi kości—tak zgryzą nas losy!
Lecz ciebie Chrystus o krew tę obwini,
Ziemio ty, co tu takie pijesz rosy...
Co milczkiem strzały wypuszczasz w pisklęta
Bezpióre, w puchu jeszcze... Bądź przeklęta!

A potem przychodzi chwila strasznej walki. Garść wygnańców, która już na okręcie sercem przylgnęła do siebie, bo, jak mówi pan Balcer, «człowiek z dolą choć wyjdzie na harce, nie rad się chmielem bez tyki kolebie, lecz rojem idzie, mrowiskiem, drużyną, a osowiałe ptaki prędko giną», teraz, wspólnością

kłęk i bólów mocniej jeszcze związana, staje oko w oko z żywiołową potęgą puszczy brazylijskiej. Zrazu niešťczęśliwi wychodźcy doznają uczucia ulgi: nareszcie! nareszcie po długiej tułaczce chwycili się ziemi, własnego zagona. U wrót więc puszczy wybucha dzika wesołość, hulanka, tańce...

A kiedy przyszło trzebić te bory, lud wziął się do pracy zawięciem i wesoło.

Ale wnet ręce opadły. Nie! nie zmożę tej puszczy, padną wszyscy, a ona stać będzie królewska, tryumfująca. A jednocześnie z serc tułaczych wyrывa się raz po raz jęk, skarga, tęsknota: «Laboga! laboga! jaka tu żałość okrutna w tym lesie! Jaki ból!.. Jaka tu jest tęskność sroga!.. A któż mą duszę, jak ptaka, zanieś do dom, do gniazda! a gdzież mi tu droga do mego rodu...», woła jeden w rozpacz; a drugi ze łzami w oku pyta niewiasty: «Maryś? A choćby my do dom wrócili? Do Wólki?», na co ona wielkim głosem wykrzyknie: «A czy Pan Jezus przez cię? Próg obmyję łzami... Kwiatuszków nasadzę... Wybielę komin het... krzyżem

co święto... w kościele»... A wszyscy milczą...

...Zbyt pełno i w sercu, i w duszy,
Żeby wymówić słowem... Ten zagrodę
Ojcowską widzi... Ten szum słyszy gruszy
Na starej miedzy... Inszemu po wodę
Żóraw u studni skrzypi... Ów pastuszy
Flecek załawia uchem. Jakieś młode
Wonie i rosy powiały skroś spieki,
Jakiś przeciągnął wiatr świeży, daleki.

Dość tej mękil.. Jeszcze chwila, a wi-
dzimy garść tułaczy, ciągnących, jak
klucz żórawi, na wschód, ku morzu,
ku chacie. I zaczyna się bolesna ana-
baza, istna Golgota osadnictwa polskie-
go w Brazylii.

Idą borem, strasznym, nieprzebytym
borem, co zamyka się za nimi, jak ścia-
na, aż przyjdą na to miejsce, gdzie kil-
ka lat temu była osada polska... Widok
okropny, rozdzierający duszę na ćwier-
ci, podobny temu, który napotkały prze-
rażone źrenice Farysa w pustyni, gdy
wśród «piaszczystej kępy» zoczyły «sta-
rożytną karawanę, wiatrem z piasku
wygrzebaną».

Po owej nieszczęsnej osadzie pozosta-

ły tylko — wspólna mogiła i kościotrup ostatniego osadnika, którego już nie było komu pochować...

Nie! tędy żywy duch nie przejdzie. Innej trzeba na wschód szukać drogi. Więc poszli stepem, gołym, pustym, skwarnym stepem, aż wreszcie zaszli w takie skalne bezdroża, że, zdało się, kroku dalej nie stąpi noga śmiertelnika. I tu bezdomni tułacze na złość ścigającemu ich losowi umrzeć zapragną, zwątpiwszy, czy kiedykolwiek dotrą do morza:

Co mocy było w ludzie, co słabości,
Co utęsknienia do miłej przystani,
Co głodu w onej wysuszonej kości,
Co wiary i co omylenia na niej,
Wszystko buchnęło wirem nawałności
Po starowiecznej, milczącej otchłani.
Nie my krzyczeli, lecz serca w nas same
Krzyczały, tak ból zerwał wszystką tamę...

Tu więc koniec będzie wszystkiemu, tu popadają wszyscy bezwładnie, bez czucia, bez woli, bez myśli, w strasznym, śmiertelnym odrętwieniu. Następuje chwila zgrozy niewysłowionej... następuje chwila strasznego tej tragedii chłopskiej rozwiązania...

Lecz nie! nie zginą! a ocali ich nie co innego, jeno uczucie najszlachetniejsze, najwznioślejsze, i w pałacach bogacza i w lepiance nędzarza zarówno wielkie i potężne, ocali ich — uczucie macierzyńskie...

Wszyscy mogą zostać tu, wśród skał i jarów, na śmierć pewną, ale matka, co dziecko na rękę niesie, nie zostanie. «Pies ty, nie ociec,—krzyknie do męża, który postanowił wraz z innymi oddać tu dobrowolnie głowę pod kosę śmierci—Pies! nie siędę! nie zgubię dziecka! Póki tchu, szła będę!»

I poszła; a za nią porwał się i ojciec; a za nim—ruszył się ławą i lud cały. A po kilku jeszcze dniach męki i tułaczki, po stoczeniu morderczej walki z murzynami, w której namiętności chłopskie, długo tajone, wybuchły ławą, doszli wreszcie do upragnionego morza.

I tu kończy się pieśń III: «Powrót», w której już uśmiechu, co zrzadka rozbrzmiewał jeszcze w pierwszej pieśni, nie stało, nawet łez w oczach zabrakło; napięcie dramatyczne dochodzi tu do szczytu.

Niestety! brak nam jeszcze ostatniej pieśni, gdzie poetka przedstawi prawdopodobnie Balcera na rodzinnej grzędzie, jak wita kuźnię swą, wioskę, sąsiadów, pola, lasy, krzyże przydrożne, niebo i ziemię...

Tak w opowieści pana Balcera wygląda owa nieszczęsna wyprawa za morze po złote runo dostatku; tak przez usta jego przemawia matka - tęsknica, to migocąc się srebrnym strumykiem żalu, wspomnień, tajnych drgnień serca, to wybuchając kaskadą rozpaczy, bluźnierstwa, samobójczej rezygnacji...

Poetka znakomicie utrudniła sobie zadanie, kładąc opowieść w usta pana Balcera, przez co dusza jej artystyczna wahać się musiała między dwoma biegunami: prawdopodobieństwa psychologicznego w narratorze i wielkości podjętego przedmiotu. Ale z tych zapasów z własnym duchem twórczym wyszła Konopnicka obronną ręką. Najprzód już te warunki niezwykle, w jakich znalazły się na drugiej półkuli te «bociany błędne», dziwnie wypiękniły je, wyszlachetniły, przetopiwszy surową rudę

w kruszec błyszczący i dźwięczny. A potem i sam narrator obrany znakiem. Pan Balcer to nie pierwszy z brzo-
ga chłop z zagona, ciemny umysłem i bierny duchem. Pan Balcer to maj-
ster kowalski, człowiek, który darmo
nigdzie chleba nie jadł, przetarł się mię-
dzy ludźmi, to i owo zasłyszał i zawi-
dział i uchodzi, tak we własnem mnie-
maniu, jak i zdaniem innych, za bar-
dzo rozumnego i godnego szacunku.
A przytem z dobrego jest rodu:

Człek się na prawie majsterskim osiedził,
Jest w cechu, tego nie zlizać językiem;
Chorągiew bracką nosi, ma w Krakowie
Brata, co ksiądz jest—Balcerski się zowie.

Ten brat-ksiądz, dowód wyższości
i przedmiot rozkosznej dumy, kilka ra-
zy powtarza się w opowiadaniu.

Słowem, pan Balcer nie jest zbyt
ciemny, aby przez jego duszę nie moż-
na było przepuścić strumienia piękności,
ani zbyt przemądrzały, aby snopy pięk-
na artystycznego i wielkości moralnej
załamywały się w nim pod kątem, nie
wskazanym przez geometryę realizmu

przedmiotu, skojarzonego z idealizmem wykonania. W sam raz na osierdzie wielkiego dzwonu epopei ludowej.

Ale pan Balcer jest naprawdę rozumny. Nie tępem spojrzeniem przerażonego natłokiem nowych wrażeń dziecka, lecz bystrym, pojętym wzrokiem otrąskanego ze wszystkim bywalca przygląda się rzeczom nieznanym. Oto widzimy go, jak staje na pokładzie parowca, «na pewnych nogach i szeroko w kroku» i pilnie zważa na wszystko.

Już przywykł z wysoka spoglądać na «morską hołotę», dla której ma szczerą pogardę, bo to i nie katolicy, i dziwną mowę mają i obyczaję jeszcze dziwniejsze, a chytry są do bójki i do wódki. Już wie, jak się maszty i reje nazywają i jakie mają przeznaczenie. Już się obcym narodom bacznie przygląda: Włochom, których zwano «Italiany», i Francuzom, z których zdejmuje portret przedziwny:

Bebłali tylko ten absynt swój z wodą,
A potem, ręce wsadziwszy w rajtuzy,
Luzem chodzili z przyciętą w klin brodą,

Gwiżdżąc pieśń, co się zwała Marsylianka,
I gęsto patrząc, gdzie butel i szklanka.

Dodać należy, że obcych ludów serdecznie nie lubi. Gotów potwierdzić jakiegś chłopce, że «Gorszy je Miemiec od żmii»; Włochów przyrównywa do kleszczy, a widząc ich natarczywość w dopominaniu się jałmużny, spluwa z obrzydzeniem: «Tfu!... Z piekła taki nie wyjdzie bez zysku!» Mniej jeszcze zachodu robi sobie z murzynami, chrzcząc ich poprostu mianem małp.

Już się rozpytał o różne rodzaje okrętów: liniowe, fregaty i jachty, zna ich budowę i użytek i wie, że wielkich i niezwykłych rzeczy jest świadkiem:

Piękna to jednak rzecz, niech, co chce, będzie,
Na własne oczy zobaczyć te dziwa!
Zaś gdy człek wróci i na swojej grzędzie
Rozstrząśnie snopy z tych ziem cudzych żniwa,
To choć w pomierzchu i w cieniu usiedzie,
Zostaną na nim te blaski, te szkliwa
I snuć się będą, jak nici pajęczce,
Kiedy w nich słońce zapali swe tęczę.

Wszystkiego jest ciekaw, wszystko rad-
by wiedzieć i rozumieć, wszędzie da so-

bie radę, wszędzie znajdzie swojego, którego się o to i owo rozpyta, wybada: a czego mu nie powiedzą, sam sobie wyrozumuje, i to wcale rezolutnie. Słowem, pan Balcer to człowiek przyszłości.

Posłuchajmy, jak on rozumuje np. o równiku: ziemia «nakształt wielkiej dyni brzuchem się tutaj wypycha do słońca, a czuby uciąga, przezornie to czyjni, boby ją nawskroś strawiły gorąca»; a potem dodaje:

Lecz inni mówią, że Równik jest na tem
Miejscu położon, gdzie stanąć ma prawo,
Jak dla człeka człek równym jest bratem,
Nie ten na ławie, a tamten pod ławą;
Jako ma równość nad całym być światem;
Ani się łazarz uwzdycha za strawą,
Ani się bogacz w talarach zakopa,
Ni szlachty wtedy nie będzie, ni chłopca.

Ale wnet zbija tę nieprawdopodobną legendę ze stanowiska najbliższej praktyki życiowej:

Dobrzeby było to, lecz radbym wiedział,
Kto będzie majstrem, a kto czeladnikiem,
Kiedy i w kuźni ustanie ten przedział,
A chłopak mi się zastawi Równikiem.

Albo przysłuchajmy się, jak «geografę Brazylii na swój ład komentuje» i tłumaczy, dlaczego tu góry «Sery» się zowią:

...ziemię surową
Najpierw tam ciepłe wygrzeją bagniska,
Potem się wody z niej scedzą, a ową
Miazgę, jak twaróg, tak słońce wyciska,
Aż stęgnie, stwardnie i czuby, jak szydła,
Postawi — właśnie jakby ser z tworzydła.

Wszak z ust Balcera wyszły owe wyrazy tak piękne i tak trafne, kiedy porównywał żyzność swojej ziemi z przepychem tej obcej, na którą go losy zgnały:

O, ubożuchne, podlaskie wy niwy,
Toż wy zbożami też tkane, jak złotem!
Toż tam lny nasze, jak szafir ten żywy...
Toż gryki srebrnym świat grodzą nam płotem,
Toć Pan Bóg u nas ma swoje śpichlerze,
Gdzie chleb. A tutaj szaty tylko bierze.

I potem dzielny pan Balcer, krzepki ciałem i mężny duchem, chociaż wierzy, że Archanioł Michał nabija harmaty, co piorunami strzelają, chociaż w trudnościach życia ucieka się po mądrość i radę do «sennika józephowego», cho-

ciaż gotów przysięgać, że łyczek jakiś, który ogrywał wszystkich w karty, miał przy sobie «inkluza czyli węzową skórę», wysuwa się na czoło gromady; w walce z przyrodą i ludźmi, z głodem i męką, z losem i śmiercią jest jej przewodnikiem, nie traci nigdy ducha, zawsze «pewny w nogach i szeroki w kroku». Trzeba posłuchać, jak przemawia on w imieniu gromady do urzędników brazylijskich, którzy przyjechali ściągać z chłopów podatki i szarwarki. I woła z goryczą, a inni potakują mu z zadowoleniem:

W pańszczyzny? w tłoki?... Z nas tłoki wybiera
Głód, pożar słońca, robactwo i nędza...
Strzeście nas, czy tu kto choć ma halera!
Jak psi my w budach! Jak bydło, bez księdza!
Do garści prawie przyrosła siekiera...
Niechaj więc nas tu w odrobki nie pędza
Nikt! Bo nam nie lża, tylko paść i zginąć,
A prawa swego nie mamy tu minąć!

Serce hartowne pana Balcera nie jest jednak nieczułe i szorstkie, choć nie roztkliwia się zbyt łatwo; chyba, że mu śmierć, «ślepa żniwiarka», ugodzi w «kwiatusek biały od rosy», dziewczkę

ukochaną, a wtedy w bólu niezmiernym bodaj od *Ojca Zadżumionych* nie mniej-szy, chyba, że za rodzinnymi lasy i polami oczy jego i dusza pobiegą.

I przyjdzie chwila, że Balcer, gorąco i szczerze wierzący chrześcijanin, co z taką otuchą i nadzieją w sercu wyruszał w podróż, ufając, że «człowiek nie plewa, wiatr go nie wydmucha», «katolik przecie, Bóg nie da mu zgiąć», zwątpi o dobrotliwym oku Opatrzności, czuwającym nad osierociałym ludem wygnańców i zapyta z goryczą:

Czyś ty nas widział tam, o Chryste Panie,
Straconych w onej okrutnej gęstwinie,
Gdzie żaden ludzki głos ani wołanie
Ćmy nie przebije i stłoczony ginie?
Czyś Ty nas widział wieczorem i ranie,
Obwołujących Ciebie przez pustynie,
Które za nami zamknęły się ścianą,
Z mroków niezbytych na głucho kowaną?

Czyś ty nas widział w tej pracy, o Chryste,
Potem oblane, zemdlone tułacze?
Czyś słyszał głosy mazurskie, strzeliste?
Jak Bandys stęka i Bugaj jak płacze?
Czyś słyszał, jak Roch pioruny siarczyste
Wzywa, Sekura jak głową kołacze

W pień, i jak wiotkiem skrzydłem nietoperza
Zwątężałość w serca struchlałe uderza?

Takim jest pan Balcer, w którym wszystko w miarę skrajane: i rozum, i uczucie, i siła ducha, i miękkość serca, natura już nie pierwotna, ale jeszcze nie zepsuta — to krew z krwi i kość z kości ludu naszego, i dlatego on, jako narrator tej epopei osadnika polskiego w Brazylii, jest właśnie taką postacią, jakiej potrzeba było poetce: potrafi wyśpiewać tak największe cuda, jak i najsroźsze boleści, i to językiem jędrnym, śpiewnym i barwnym zarazem. Taki człowiek ma prawo powiedzieć o sobie:

A ja, patrzący na matek omdlałość,
Na ciężkie ojców łzy, na dzieci głupie,
Tak trzepoczące się, jak marne muchy,
Dzwon miałem w sercu rozbity i głuchy.

Nie uczyniła poetka narratorem takiego np. Horodzieja, starego chłopca z Podlasia, pełnego namaszczenia, powagi i mistycznej głębi, chociaż postać to najbardziej uduchowiona ze wszystkich: bije od niego jakaś wielka mądrość, jakaś

gołębia czystość, jakiś urok czegoś niezemskiego. Jest on jakby wcieleniem sumienia tego ludu tułaczego i rozumu, co nie z ziemi, lecz z nieba początek bierze. Jakże majestatyczny jest Horodziej, kiedy np. godzi zwaśnionych i uśmierza wzburzone namiętności, kiedy —na wzór Maćka nad Maćkami—karci, napomina, gromi, zawsze prostą wskazując drogę, kiedy, jak posłannik Boży, «westchnieniem wzbity nad własną naturę», chrzci narodzone na okręcie dzieciątko, lub kiedy wreszcie umiera wśród skalnych bezdroży, «jak łabędź biały, gdy srebrne puchy rozpuści na wietrze». Ale gdyby Horodziej był narratorem e-popei, rozplynęłaby się we mgłach mistycznych, nie miałyby ani tej siły, ani tej tężyzny, ani tej plastyki, jaką nadaje jej zdrowa, muskularna figura pana Balcera.

Gorzejby jeszcze było, gdyby poetka włożyła opowiadanie w usta takiego np. Opacza, bo nie jest on taką kryształową duszą, jak Balcer: i pojęciami, i pogardą obyczajów wiejskich daleko odsunął się od chłopskiej wspólnoty; nale-

ciałości cywilizacji fałszywej a powierzchownej odchyliły go od pnia rodzimego.

Opacz jednak jest typem doskonałym, przedziwnie odczuty i odtworzonym. Widzimy go, jak chodzi po pokładzie, z cygarem w zębach, w szynelu wojskowym, patrząc z góry na kubraki i sukmany. Łgarz bezczelny, samochwalca, jakich mało, mądrala, który sam sobie wydaje się wielce rozumnym i wykształconym, zawsze gotów do zwady i bitki, do kart i hulanki, sypiący dokoła konceptami obozowymi i obozową mądrością; on z zimną krwią utrzymuje, że Atlantyk dużo mniejszy od morza, które widział w Odesie, gotów nawet założyć się, że przepłynie ocean w pław za «dwa soroki rubli». Nikt mu wszakże nie wierzy i nikt go nie podziwia.

I Roch Zatrata z Łęczny, choć «setny chłop», nie zdałby się na główną postać epopei: jest to człowiek ponury, zacięty, awanturniczy, z «zawziętkiem w twarzy», uosobienie drzemiącej jeszcze, utajonej siły, której nie traciła dotąd złota strzała uświadomienia. I on wszakże ma swój rozum i swój dowcip sa-

morodny, kiedy np. tak przycina prze-
mądrzałemu Opaczowi:

Każdy je mądry, jak wraca z ratusza,
Kiedy go burmistrz po skórze wyłupi,
Ino na ratusz — to wszyscyśwa głupi.

I Dudek, cichy, wąty, pokorny chłop,
choć w ciemnym kątku epopei ukryty,
ma chwile czarownej jasności, kiedy
w puszczy brazylijskiej pierwszy gło-
śno marzyć zaczyna o powrocie na swą
niwę złocistą, do swej chaty bielutkiej
i ogródka przy chacie, kiedy, nie mo-
gąc dać sobie rady z karczowaniem ol-
brzymów leśnych, ciska topór ze zło-
ścią i woła z komiczną napoły, przez
pół tragiczną rozpaczą.

Chryste! Za każdą osinkę skreconą,
Za każdą brzoźkę, wyciętą tam, doma,
Na dworskiem, Bóg mnie pokarał tym borem,
Co go ni ugryźć, ni uciąć toporem!

Ale wszyscy oni, mimo różnorodno-
ści swego wyglądu, języka, charakteru,
wspólne noszą na sobie piętno i skła-
dają się na obraz pstry, lecz jednolity.
Oto cały ten tłum—od starego Prosku-

rata, który, gdy okręt zbliża się do brzegu, wykrzykuje z radością: «Jeszcze nie przegrana!», któremu w przedśmiertnej wizyi ukazuje się słońce lat młodzińcych, «Napolion», — do Opacza, od Magiera, stelmacha z Łukowa, co «grał w szlachcica» i pysznił się i dał, jakby coś lepszego, — do Łucia Ostańczuka, co sobie w puszczy podzwrotnikowej, w jakimś bagnie «wydumał Polesie» i żółwia sztuk różnych wyuczył, — ci wszyscy, wspólnością losów związani, jednoczą się w uczuciu — bólu i tęsknoty.

Tęsknota — to duch, co orlem skrzydłem przelatuje z końca do końca «Pana Balcera» i z prostych i ciemnych ludzi czyni bohaterów, tęsknota — to łaź, która drży w każdym wierszu, w każdym porównaniu. I wtedy Konopnicka, jak, wedle jej słów własnych, Mickiewicz w «Panu Tadeuszu», «tworzy te precudne antytezy swojskiej i obcej przyrody, antytezy, które zawsze wypadają na korzyść przyrody swojskiej». Bo i skąd Balcer ma czerpać materiały do porównań i przenośni? z tego świa-

ta, w którym żył, którym oddychał aż do chwili wstąpienia na pokład «Krejca», z tego życia, które mu dotychczas było najbliższe i najdroższe i będzie zawsze najdroższe, chociaż blizkiem być przestanie.

Wszystkie więc wrażenia przekłada się na język zrozumiały dla dotychczasowego kręgu pojęć: praca rolnika, wieś, pole, las swojski, polowanie, kuźnia, kościółek najbliższy, odpust, jarmark, niejasne, choć promienne wspomnienia jakichś dawnych bojów—oto dziedzina znacznej większości zwrotów poetyckich «Pana Balcera». I jest w tem i prawda uczucia, i prawda rozumu, i jest urok piękna niepospolitego.

I cóż stąd, że okręt przyrówna się do «raka» lub «szczuki», rekina do «żaby» lub «kijanki»? czuć tu pewien odcień humoru, ale te «antytezy swojskiej i obcej natury», tak niezwykle, a tak proste w zasadzie, nie tylko potracają strunę zawsze potężnego liryzmu, tego samego, co Mickiewiczowi kazał z rozrzewnieniem wspominać żaby, bigos, kawę, muchy na Litwie, Balcerowi «ży-

tniówkę, naszą pocziwą siwuchę»; one i artystycznie są niezrównane, tem bardziej, że wszak nie poetka od siebie, lecz kowal wiejski, Balcer je składa.

Spójrzmy, jak pan Balcer opisuje puszcę brazylijską, owe ogromne bory, sadzone tutaj od «naczęcia świata». skrzyppy, jak «w organie fujary», jodły, jak «szabaśne świeczniki», stołby, «niby kościelne filary», tak »kołyszące się, jak z masztów wiechy», to «insze krągłe i zbite, jak strzechy»; piasków tu niema, i brzoza nie rośnie, ku wielkiemu smutkowi wychodźców, ale tyle przepychu i bogactwa, «jakby skarb nagle otwały ci duchy, co go w ojcowskich skałach skarbnik strzeże, aż przecknie Łoktek ze snu i rycerze». A nad puszcą unosi się par duszny, jak «gdy w łaźni grają piece, a piżmo tęgie czuć, niby w aptece».

Takich przeciwstawień cudnych na każdym kroku garście całe. Pan Balcer dziwi się np. karności na okręcie i zaraz dodaje: «nie tak się niedźwiedź pilnuje muzyki, gdy mu na drumli gra Cygan w odpuście, jak tu człek prawa

morskiego i rządu»; a kiedy chce powiedzieć, iż okręt idzie drogą wyznaczoną, tak myśl swą dosadnie wyrazi:

To u nas prędzej chłop zmyli w Sterdyni
Drogę, z odpustu idąc, do rogatek,
Niż na tych wodnych obrusach ten statek.

Kiedyindziej opowie anegdotkę o majtku, którego wraz z łódką noc całą ciągnął rekin, uchwycony na żelazo, «jak lina, co na niej Bugiem prowadzą gabary do Uściługa». A kiedy burza rozszaleje na morzu—jeden z piękniejszych opisów «Pana Balcera»—przypomną mu się Kampinos, Myszyniecka, Zielona i Białowieska, sławne puszcze, gdzie również słyszał burze tęgie — ale gdzie im do tego straszliwego huraganu na oceanie!

Pachoł, uczepony lin u szczytu mastsztu, przypomina mu drozda wśród gałęzi, a brózda, którą pozostawia za sobą płynący okręt na powierzchni morza, taki mu obraz z pola swojskiego przed oczy postawi:

Tuż za nim (t. j. za okrętem), jako kiedy na
nowinie

Pług zajmie krojem skibę a odwali,
Taka się połąć skroś morza odwinie
I szczerym ogniem po strzępach się pali.

To znów wspomni Bielany i drogę
«Wisłą z Rybaków na Pragę» lub «tra-
twy, luzem płynące na Wiśle», albo też
widzenie czajki na Dnieprze i bobrów
na Biebrzy-rzece komuś łą w oku za-
świeci....

Widok czarnych murzynów przywie-
dzie panu Balcerowi na myśl «barany
z kiermasza w Łukowie, w Miednej,
aboli w Wohyni», a wodę w rzece do
Buga przyrówna; i aż dziwno słuchać,
jak «wśród syku gadzin i papug po-
swarku» rozlegną się pieśni «od Wisły,
od Buga...» Czasem znów ktoś pieśń
długą a rzewną zaciągnie i zaleje się
łzami: «Hej! ty stepie, ty rodzony! Hej,
ługu, młodą kaliną sadzony!...»

Takie cudne wzory tka Arachne-tę-
sknota na szarej osnowie wyobraźni
prostaczej! Tak złotą swą nicią oplata
serce, poprzez morza i lądy wiąże je
do chat kurnych, do gniazd bocianich,

do tego kraju, gdzie «świt we łzach całej długo wyprasza się Bogu, by mu patrzeć nie kazał na stary ból świata».

I chyba, że przyjdzie jaki obraz wielki, zjawisko, które wstrząśnie i zmaci do dna istotę ludzką, a wtedy duch, porwany szałem zachwyty lub trwogi, o swojskich rzeczach na chwilę zapomni.

I wtedy poetka przywoła na pomoc całą potęgę swego obrazowania, w którym prostota łączy się przedziwnie z siłą wyrazu. Oto np. opis burzy morskiej:

Nie tak się w sobie rozszum, rozwieje
Bór, gdy się sośnie zamięta od burzy,
I nie tak ugór zorany czernieje,
I nie tak żyto za wiatrem się kurzy,
Jako więc morze pod oną zawieje.
Wał na wał pędzi, dogania go, nurzy,
Zatapia, ryczy, jako byk do stada,
Zrywa się, leci i w otchłań przepada i t. d.

A najpiękniejsze w tym opisie jest bodaj zakończenie: kiedy się już morze w tej bitwie zmachało — jak chłop po całodziennej kośbie — i w «setne trąby na odwrót grać dało», ostatni piorunmaruder uderzył w maszt «Krejca»

i odwalił sążeń drzazgi, poczem ułożyły się nagle rozhukane żywioly:

Zaraz też, jakby na to tylko czekał,
Jął się wicher ciszyć i składać po sobie
Zjeżone grzywy; a grzmot tak uciekał,
Jak gończy z troka, gdy w kniei przeskrobie;
Raz jeszcze, drugi wskroś mroków zaszczekał,
Zacichł, znów drogę obwarknął na globie,
Aż ciszej, dalej, z ostatnim skowytom
Schował się w niebie, chmurami nakrytem.

Do szczytu wszakże dochodzi obrazowość poetki w opisie huraganu w dziewiczej puszczy w Brazylii.

A wtem się zaniósł wicher. Zrazu padołem
Rozszeptał trawy, rozszumiał byliny,
Zaś się zamachnął szeroko, a kołem
Trask i syk poszedł łamiącej się trzciny,
Aż wzmógł się, zebrał w sobie, gruchnął
czołem

W odwieczne stolby borowej głębiny,
Zatrząsł pnie, wzleciał, urwał się ze smyczy
I po wierzchołkach w tysiąc świsnął biczy.

Zawyła puszcza. Huk poszedł po kniei,
Jakby sto gromów trzasło. Już świst dziki
Leci przez wzdęte struny tej zawiei,
Jak przez syczące, wężowe języki,
Już zgrzyt, szum, łoskot, nie patrząc kolei,
Buchnęły w jeden gwałt! Aż z tej muzyki

Przeciagle wyszły jęki i lamenty
Od ziemi aż po nieba fundamenty.

Bór ożył. Drzewa wyciągają ręce,
Załamią z trzaskiem je i trzęsą niemi;
Insze w śmiertelnej skurczyły się męce,
Wiją się, głową uderzą po ziemi;
Te ryk rozpaczy mają; te—dziecięce
Głosy rzewliwe z skargami cichemi...
Insze stanęły z wyciągniętą szyją,
I jak psi na mór, lub na wojnę — wyją.

Czasem upadał wicher, jakby od gromu,
A puszcza niema stawała i głucha,
Tak matka, gdy jej trumnę syna z domu
Niosą, na progu zmartwieje i słucha...
Aż znów się zrywał jęk, świst, huk, trzask
łomu,
Znów trzęsła borem dzika zawierucha,
Skoś której wyły tak okropne głosy,
Jakby świat tarzał się i darł za włosy.

Przytoczyliśmy umyślnie dłuższy urywek tego opisu, aby wykazać, na jakich wyżynach plastyki stanęła tu Konopnicka. Obok niej nikt, nad nią—twórca «Pana Tadeusza».

Tak więc opisy natury w tem arcydziele Konopnickiej stoją w zupełności na poziomie wymagań epopei. I gdy

rzucimy teraz na olbrzymie tło tych żywiołowych, nieujarzmionych potęg szczupłą garstkę wychodźców polskich, «garść ledwo widną Boga oku», nieobjęty tragizm «Pana Balcera» uwydatni się nam w całej pełni.

I Balcer zdaje sobie z tego sprawę, kiedy kreśli obraz puszczy głuchej, a na jej skraju «garsteczkę» wychodźców. «Puszcza stała głucha» — powiada —

Ogromna, cicha, obojętna, senna,
Od spodu bagien swych oddechem biała,
Nakryta żarem, a głębią — bezdenna;
Więc na wyrębie garsteczka ta mała
Naszych, o swoje krzycząca tu lenna,
Tak marna zdała się i taka licha,
Że zgroza włosy podniosła mi cicha!

I z jakim talentem umie Konopnicka odtwarzać psychologię duszy chłopskiej! Złożyła dowody tego w nowelach, ale w «Panu Balcerze» ta genialna przenikliwość, to współczucie psychologiczne sięga zenitu. Nikt tak, jak ona, nie zna, «dusz prostych i miernych», i nikt nie sądzi ich i nie ocenia tak sprawiedliwie. Nie ukrywa się żadnych grzechów i uchybień moralnych, ale nie zapomina

się też o żadnym okruchu złota, na dnie duszy chłopskiej głęboko ukrytym. Przyznaje się szczerze, że «naród» ten pochopny jest do zwady, do bitki, że «naród ten, jak słomę, zanieci ogień o chwilę», ale wierzy się i ufa, że przed ludem tym leży przyszłość wielka i promienna:

Tak nad swą nizkość i nad chat swych dymy
Naród ten polny wyrośnie w olbrzymy.

Słowem, jak Mickiewicz nie ukrywa obłudnie wad swych bohaterów, nie zamyka oczu na ich zdrożności i patrzy na nich z wyrozumiałością ojcowską i łąką rozczulenia w oku, tak i Konopnicka w odtwarzaniu swych siermiężnych pionierów brazylijskich idzie za sercem, które kocha szczerze i gorąco, ale bez zaślepienia.

A jak głęboko Konopnicka umie wniknąć w tajną treść duszy kmiecej, niech tego dowodem będzie drobny urywek, gdzie poetka wyjaśnia, co znaczyć może westchnienie u chłopa:

Chłop rad wzdycha

Tam, gdzie się drugi w mówieniu rozszerza.
A jest w tem skarga nieznośna, choć cicha,
Co ziemię rusza i w niebo uderza.
Więc może takż i twardość, i pycha,
Co to na rynek nie nosi pacierza,
Jak żebrak, jakaś dostojność ta kmieca,
Od prastarego idąca gdzieś wieca.

Takich jasnowidzeń psychologicznych w «Panu Balcerze» bez liku. I jeszcze pod jednym względem Balcer przypomina Tadeusza: oto ta zbiorowość, której arcydzieło Mickiewicza zawdzięcza najcelniejsze swoje obrazy: radę w Dobrzyniu, zajazd, bitwę, ucztę,—i «Pana Balcera» uczyniła epopeą. Bo nie o garstkę wychodźców tu chodzi, lecz o rysy duchowego oblicza ludu całego, który się streścił i zamknął w postaciach Balcera, Horodzieja, Zatraty, Opacza, Dudka i ich towarzyszy. A że akcyę utworu przeniósł poeta z pośród łąnów i łąk naszych w dziewicze lasy Brazylii, dowód to przenikliwości wielkiej i zmysłu artystycznego. Jak przyrodnik, który pragnie czynić postrzeżenia nad jakimś zjawiskiem, odosabia je od innych, stwarza dla niego wa-

runki niezwykle i nieprzyrodzone, a wtedy objawy występują w postaci najczystszej i najdoskonalszej, tak Konopnicka, chcąc wykrzesać snopy iskier z piersi chłopskiej, wyrwała ją z otoczenia codziennego i, wedle rady Syzyfa w poemacie «Prometeusz i Syzyf», uderzyła «człowieka o Zeusa...» I błysnęło światło i rozbiło się w tęczę stubarwną, a z duszy chłopskiej wytrysła cała gama tonów silnych i harmonijnych... Cała pełnia tonów...

A oto jeden z tych dźwięków najdonioślejszy. Gdy pan Balcer spotkał w Brazylii kolonistów niemieckich, wydziwić się nie mógł ich zdolności przystosowywania się do nowych warunków bytu: «lutry takie i kalwiny, jak te, co u nas po Olendrach siedzą», żyją tu «powoli, cicho, zgodnie, siłę swą z sobą i ład niosąc wszędzie:»

Nie nie znać na nich tęskności, żaloby,
Pod którą brat nasz z sił schodzi i spada,
Spokojnie czynią rzecz swoją, jakoby
Tu się rodzili i żyli z pradziada.
Skończą robotę, to w różne sposoby
Śpiewają chórem, jak szpaków tych stada,

Z wiatrówek biją, biegają do mety,
Potem fasoli pojedzą—i w bety.

Ale nasz chłop, gdy go z rodzinne-
go zagona przesadzić na grunt obcy,
wiecznie wzdychać będzie do swojskiej
gleby i zwiędnie, jak płonka z podciętym
korzeniem.

I to jest wielkość, i to jest piękno,
i to jest żywy źródło wszystkiego, co
czyste i szlachetne...

I to właśnie czyni «Pana Balcera»
epopeą...

O Utajony na krzyżu, o Paniel
Mrówczkę strzeżesz w mrówczanym jej
gmachu

I liszce w norze obierasz mieszkanie,
A nasze głowy bez dachu?...

O Utajony na niebie i ziemi!

Ty wiosną domki budujesz ślimacze...

Myż tylko sami pomiędzy wszystkimi

Mamy być wieczni tułacze?

Ale ta rozpacz nie pozostawia pustki
bezdennej w sercu, bo w niej, jak kielek
w ziarnie, ukryta nadzieja, którą nie-
gdyś, w IV-ej seryi poezyi swoich Ko-
nopnicka wyraziła w formie dogmatu,

w formie chemicznie czystych pierwiastków równowagi ducha, poważnych, surowych, jak kolumna dorycka, akantami zwrotów retorycznych nie uwieńczona:

Lud i praca — to są siły,
A świat cały niemi stoi.



589/5182

240

Miejska Biblioteka Publiczna
w Kaliszu

I 024549 U



001-024549-00-0

Z W I O S N A

Albumik z wyborem poezji, ozdobiony 8 chromolitografjami, w ozdobnej okładce — 90

WIOSENNE KWIECIE

Poezje Or-Ota, ozdobione 16 chromolitografjami, w ozdobnej okładce w formie róży 1 20

ECHA WIESZCZE

Ozdobne album ze starannym wyborem najpiękniejszych fragmentów naszych poetów, z 12 wspaniałymi chromolitografjami 1 80

Kwiaty i Pieśni

Piękne album kwiatowe z 68 chromolitografjami z wyborem poezji naszych poetów, w ozdobnej okładce 2 —

LEĆCIE PIEŚNI!

Prześliczne chromolitografie, z pięknym wyborem poezji naszych poetów, w ozd. okł. 1 20

L I S T Y.

Poezje M. Konopnickiej, ozdobione 12 chromolitografjami, w ozdobnej okładce — 75

PIEŚNI—LISTKI

2 albumiki z wyborem poezji, ozdobione chromolitografjami, w ozdobnej okładce, po — 50